

I wyszedł.

Guillaume, pozostawiając sam z Julią, wziął ją za rękę i przeszywając młodą kobietę badawczym wzrokiem, rzekł cicho i powoli, lecz wyraźnie i stanowczo, wymawiając z naciskiem wyraz po wyrazie:

— Proszę mnie wysłuchać uważnie. Wierzę pani i co tylko zdołam uczynić, aby wpaść na trop właściwy, uczynię niezawodnie. Tylko, chciej nie powtarzać nikomu z ludzi obcych ani jednego słowa z tego, co mówię w tej chwili... Czy pani rozumie znaczenie mego żądania? Jestem tylko skromnym komisarzem policyi, a rola moja obecnie już zupełnie skończona. Nie mam prawa zajmować się jej sprawą, przekazałem ją bowiem moim przełożonym w raporcie słownym, za moment zaś przekażę w raporcie na piśmie. Najmniejsza nieostrożność z jej strony, sprawić może, że nie tylko pozbawiony zostanę posady, lecz i pani będziesz zgubioną!

Julia słuchała go chciwie.

— Tak, tak, rozumiem! — szepnęła. — Dziękuję!... Nic nie zrobię i nic nie powiem, dopóki nie otrzymam od pana upoważnienia do mówienia i działania. Przysięgam to panu najsoleńniej!

Marceli wszedł w tej chwili do pokoju.

— Czy jesteś cierpiąca? — zapytał.

Lecz młoda kobieta, jakby przeobrażona obudzoną nagle w sercu nadzieją, rzuciła mu się na piersi.

— Cicho! nie mów nic!... Oskarżają nas, lecz pan, który wierzy w naszą niewinność, bronić nas będzie!

Marceli zwiesił głowę na piersi i rzekł tonem pełnym rozpacz:

— Niestety!... Jak pan dasz sobie radę z ludźmi, trzymającymi los nasz w swoich rękach, a tak mocno do nas uprzedzonych?!

Guillaume uśmiechnął się.

— Pozwól mi pan działać! — szepnął cicho, lecz zarazem bardzo energicznie i stanowczo. — Znajdę mordercę, gdziekolwiek się ukrywa! Rozwiązywałem sprawy stokroć bardziej zawiślane, a przypuszczam, że nie zardzewiałem w ciągu kilkuletniego odpoczynku.

#### ROZDZIAŁ IV.

##### Mąż zazdrosny.

Ze schyłkiem dnia sędziownicy opuścili zakład, polecając mieszkańcom domu, aby się z niego pod żadnym pozorem nie oddalali i gotowi byli stawić się na każde wezwanie, nie wydali jednakże rozkazu aresztowania nikogo. Po zbadaniu papierów doktora Manescault, oświadczył sędzia, że nie widzi potrzeby opieczętowania jego pokoju ani znajdujących się w nim mebli. Ciało zamordowanego wysłano do domu przedpogrzebowego w Paryżu, gdzie sekcyja miała być dokonana nazajutrz.

Pomimo świeżo zaszłych, tragicznych wypadków i niepewności o jutro, życie zakładu toczyło się codziennym trybem, dzięki bliskiej niemal obojętności zimnej krwi, tak doktora Jintota, jak naczelnego dozorcę Mikołaja Sempuis. Ten ostatni, spełniający sumiennie obowiązki swej zwykłej służby, siedział właśnie na wieczór, gdy nagle, na progu zamieszkiwanego przez siebie pawilonu, zatrzymał się zdziwiony nieprzyjemnie. Odwrócona do niego plecami, a wychylona z parterowego okna — wychodzącego na podwórzec wewnętrzny — młoda jego żona rozmawiała w sposób bardzo ożywiony z jednym z dozorców i z jedną z pokojówek zakładu.

Śmierć chlebobdawcy, zejście sądu i podejrzenia, zwracające się przeciw żonie i szwagrowi ofiary, stanowiły treść ich rozmowy.

— Nie, nie! — mówiła mocno rozdrażniona Ludwika. — Nie uwierzę nigdy, aby pan Marceli był mordercą!... Co zaś do naszej pani, byłoby wprost szaleństwem przypuszczać, że mogła brać udział w tak ohydnej zbrodni!

W jej zaniepokojonej głowie przesunęły się zarysy wypadków ubiegłej nocy. Przypomniła sobie straszny krzyk, który wraz z Juliuszem Varin posłyszala, przechodząc koło szaletu, oraz ucieczkę wśród ciemności nieznanego człowieka, właśnie w chwili,

gdy pani Manescault z panem Ludwikiem Marsolem znajdowali się jeszcze w kiosku. Wiedziała dobrze, że ci nieszczęśliwi nie mogli być winowajcami. Niestety! jakże to jednak powiedzieć, nie narażając siebie samej?!

— Zresztą przecież sąd niema żadnego powodu? — rzekła głośno i z naciskiem.

Dozorca odparł obojętnie:

— Nie ulega wątpliwości, że zupełnie pewnych dowodów nie mają panowie sędziownicy, bo gdyby mieli, jużby całą trójkę wsadzili do ula, lecz...

Pokojówka, o ogniste błyszczących oczach, widocznie bardzo podniecona, przerwała mu mowę:

— A suknia skrwawiona?... Ja tę suknię widziałam... Pokazywała nam ją Berta w izbie czeladnej... Nawet zdawało mi się, że zemdleję na jej widok...

Ludwika odpowiedziała z uniesieniem:

— Czegóż to dowodzi?... Wszakże temu, co mówi pani, śmiało uwierzyć można... Widząc konającego męża, pochyliła się nad nim, a może i wzięła go w objęcia, nie zastanawiając się wcale, czy powalała się jej suknią, czy nie... Czy myślicie, moi

Gdy znikli, Sempuis gwałtownym ruchem ręki zatrasnął okno i wszedł do izby, gdzie żona jego, chcąc odzyskać czas stracony i nadać sobie pozory spokoju, zaczęła nakrywać do stołu.

— Ludwiko! — krzyknął groźnym tonem.

Młoda kobieta drgnęła zalekniona.

— Czego chcesz, mój drogi? — szepnęła nieśmiało.

Usta męża poruszyły się ledwie.

— Nic! — odpowiedział. Poczem machnął ręką, tyłem odwrócił się do żony, siadł na stojącym w pobliżu krzeselku, chmurny wzrok skierował ku podłodze i zadumał się głęboko.

Niewiele odwagi i zimnej krwi, jakie posiadała biedna Ludwika, ginęły zwykle z chwilą, gdy sama na sam pozostawała z mężem, którego bała się jak ognia. Chociaż dla niej wyjątkowo nie okazywał się on grubianinem, przekonana jednak była, że gdyby dał się unieść owładającemu nim kiedy niekiedy gniewowi, nad którym przecież umiał zwykle zapłonąć — stary wojak, ex-żołnierz kolonialny, stałby się niezawodnie straszny. Wszystko w tym człowieku przerażało młodą kobietę: jego skryty charakter, nieustanna prawie ponurość, częste pograżanie się w długich zamyśleniach, w ciągu których w mózgu jego budziły się prawdopodobnie dawne jakieś przykre wspomnienia, nawet nadzwyczajna moc jego miłości dla niej. W obecności męża czuła się podobną do opuszczonego dziecka, błądzącego w lesie wśród cieni nocnych, a wyczerpanego z sił nieustanną, drażniącą nerwy obawą jakiejś niepojętej, niewidzialnej, wiążącej nad nim groźby.

Dziś wieczór jednakże uspokoiła się nieco, gdy Mikołaj, względnie pogodny siadł przy stole, wezwany przez nią słabym i słodkim głosem do spożycia przygotowanej już kolacji. Ośmieliła się nawet sama zacząć rozmowę, usprawiedliwiając się przed nim z nienawidzonego przezeń gadulstwa.

— To nie moja wina, że wdałam się w gawędę z tym chłopcem i z tą dziewczyną. Przyszli tu i zirytowali mnie swoim głupim opowiadaniem. Wszakże to nie może być prawdą, aby panią Manescault i jej brata sąd podejrzewał o spełnienie zbrodni?

Sempuis zrobił ręką gest, nie posiadający wyraźnego znaczenia.

— Ja się nie zajmuję temi sprawami — rzekł po chwili. — Od tego są sędziownicy. Zresztą przekonany jestem, że wkrótce sami się spostrzegą, iż biorą za prawdę fałszywe poszlaki. Tu nie było żadnej zbrodni, tylko przypadek!... Wszakże przytrafia się niemal codziennie, że waryat ni z tego ni z owego narobi nieszczęścia. Kto niema najmniejszego wyobrażenia o podobnych do naszego zakładach, może się temu dziwić, ale nie my, którzy z obłąkanymi poramy się od rana do wieczora. Tylko że panom z sądu zdaje się zawsze, że wszystko wiedzą i że są mądrzejsi od nas!

Wzruszył pogardliwie ramionami i ukrajał sobie sporą kromkę chleba.

W chwili, gdy Ludwika otwierała usta, pragnąc w tymże samym przedmiocie prowadzić dalszą rozmowę, Mikołaj powstrzymał ją skinięciem ręki.

— Słuchaj mnie raczej! Mam ci coś ciekawego do powiedzenia.

Poczem zamilkł znowu, nalał sobie sam drugi talerz zupy i polykał ją powoli łyżką po łyżce. Ludwika zaś nieruchoma wpatrywała się w niego, czekając z instynktowną obawą na słowa, które miał wypowiedzieć. Spojrzała na nią.

— Nie jesz?

Pospiesznie nalała trochę zupy do stojącego przed nią pustego talerza.

— Owszem, jem! — odparła.

On otarł twarde, siwe wąsy i rzekł poważnie:

— Zastanowiłem się... i przyszedłem do przekonania, że nie możesz tu pozostać obecnie.

Ludwika wypuściła łyżkę z ręki i spojrzała na niego pełnym niepokojem wzrokiem.

— Jaktó?... Co chcesz powiedzieć?



Ach! panie, ratuj mnie! —

państwo, że prawdziwi winowajcy nie postaraliby się jak najspieszniej zaprać plam krwawych?

Grzmiący głos Mikołaja Sempuis przerwał odpowiedź osób, rozmawiających z młodą kobietą.

— O czym się tu gwarzy? — krzyknął gniewnie. — Skąd ci się wzięła, moja żono, chęć paplania o rzeczach, które nas wcale nie obchodzą? Proszę mi się uciszyć natychmiast! Zajmując się tem, co do takich jak my nie należy, można tylko nabawić się kłopotów i przykrości!

I zwracając się w sposób grubiański wprost do pokojówki i dozorcę, którzy zaniepokojeni w tył się nieco cofnęli, dodał:

— Wszakże nie rozprawiać, a pilnować macie waszej służby!... Ruszajcie stąd precz! Nie zatrzymuję was!

Pokojówka chciała się roześmiać, lecz śmiech zamarł na jej zbiegających wargach. Mruknęła tylko:

— Co za człowiek! Niedźwiedź nawet byłby od niego grzeczniejszy!

Lecz mówiąc to pocichu, zawróciła żwawo na ścieżkę wiodącą do zakładu. Równocześnie towarzyszył jej, wsunawszy ręce do kieszeni, oddalał się śpiesznie gwiżdżąc, chciał bowiem ją przekonać, że słowa Mikołaja nie wywarły na nim wrażenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).